

# WSZYSTKO NA PRZEMIAŁ?

Teatr NN jest ascetyczny. Trudno powiedzieć, w jakiej mierze jest to wynikiem twardych materialnych konieczności, kulturalnej biedy czy raczej - skąpienia na kulturę w kraju goniącym za mirażem tłustej i sytej Europy, a w jakim stopniu stanowi to świadome samoograniczenie jego twórców. Tak czy inaczej sceneria wnętrza na Grodzkiej, sali teatralnej z odrapanymi ścianami, wystającymi na wierzch żyłami przewodów elektrycznych, sufitem zwisającym ostrzegawczo i groźnie, staje się pełnoprawnym aktorem tego, co się rozgrywa w tym upiornym miejscu. To autentyczny krajobraz postkomunizmu, pozbawiony sztucznych ozdóbek i podpartych kijem fasad.

O ile w poprzednich realizacjach Teatru NN *Inwokacje*, *Ziemskie pokarmy*, *Wędrowki niebieskie* przestrzeń zagospodarowana była tak, by wyodrębnić z tego tła umowną scenę i odwrócić uwagę od przytłaczającej reszty, o tyle w ostatniej, w *Zbyt głośnej samotności* zrezygnowano z takiej próby. Słusznie, albowiem dla tego monodramu skonstruowanego na podstawie powieści B. Hrabala, trudno o właściwszą oprawę aniżeli sala rozpadającego się budynku na Starym Mieście. Sztuka o rozpadzie wszelkich wartości najlepiej przemawia na naturalnych ruinach. Jej bohater to współczesny, młodszy brat „człowieka z podziemia” Fiodora Dostojewskiego. Z jedną tylko różnicą: „człowiek spod podłogi” u rosyjskiego pisarza sam skazuje siebie na zejście w podziemie. Człowiek Hrabala jest do niego zepchnięty przemocą.

Choć książka funkcjonująca u nas jeszcze w drugim obiegu, pisana była prawdopodobnie z myślą o ówczesnych realiach: doli intelektualisty pod dyktando absolutyzmu nieoświeconego, w realizacji Teatru NN nieoczekiwanie nabrała wymowy szerszej i głębszej. Oparty na niej scenariusz stał się moralitetem o śmierci Kultury zadanej jej przez pop - kulturę. Bohater, wygnaniec ze świata nadziemnego, skazany na karę przebywania na śmietniku zdaje się być ostatnim, który umie czytać dzieła uznawane przez wieki kultury elitarnej za przejaw najwyższego wlotu ludzkiego ducha. I ostatnim, który umie słuchać pisku rozwścieczonych szcurków walczących o panowanie nad śmietnikiem. Jest samotny samotnością ostateczną. Albowiem wie, a nie ma komu powierzyć tego, co wie. Nie ma żadnej nadziei. Akordeon w jego rękach wydaje z siebie tylko głuchy syk. Jedyne dźwięki w tym sprasowanym świecie to tupot buciorów, hałas bezdusznej prasy, łomot blachy. Samotność zbyt głośna, ale niedosłyszalna, bo zagłuszana mechanicznym jazgotem cywilizacji, która nie może sobie pozwolić na skupienie, zagoniona za tym, co użyteczne teraz i zaraz. Produkuje ona swoistą kulturę konsumpcji półproduktów i utylizacji odpadków. Do odpadków zalicza się zaś wszystko, co niełatwostrawne. Także - myśli i ludzi opierających się homogenizacji. *Zbyt głośna samotność* to elegia na śmierć wartości przeznaczonych na zmilenie i opowieść o Ostatnim, który potrafi po nich rozpaczć.

Tajemnicą sztuki reżysera spektaklu i jego jedyne wykonawcy, Henryka Sobiecharta pozostaje to, iż owa rozpacz nie udziela się oglądającym. W starciu z maszyną pop - kultury, wygrywa człowiek, umysł, duch. Wprawdzie w końcowym epizodzie ukła-



Anna Rachoń *Zbyt głośna samotność II*

da się do trumny, jak gdyby akceptując dokonane na nim zabójstwo, ale z książką na piersi, w której zebrane zostały najważniejsze przesłania przeszłości. Słowa Lao-Tsy, Novalisa i - zwłaszcza - Kanta: „Dwie rzeczy napawają mnie nieustającym podziwem: niebo gwiazdzone nade mną i prawo moralne we mnie”. Podziemie, gdzie dokonuje się egzystencja bohatera wydaje się być absolutnym i ironicznym zaprzeczeniem tak „gwiazdzonego nieba” jak i „moralnego prawa”. Jego los zobrażony jest metaforą schodów, które okazują się niezbędne nawet w najbardziej spłaszczonej przestrzeni. Po nich przecież muszą schodzić banici z Nadziemia do Podziemia. Pozostawiam profesjonalistom analizę i ocenę sztuki reżyserskiej Tomasza Pietrasiewicza i sztuki aktorskiej Henryka Sobiecharta. Laik może stwierdzić tylko jedno: obydwaj zdołali przykuć nas na półtorej godziny do niewygodnych ławek i kazali zapomnieć o innym wymiarze czasu i przestrzeni niż te, które stworzył teatr. Wprowadzając nas do jaskini platońskiej, przykuwając do ław, jak tamtych „kajdaniarzy”, odwrócili sens metafory greckiego filozofa. Tam, u Platona, jedynym, który rozpoznał uludę cieni branych za autentyczne rzeczy był filozof, który powążył się odwrócić głowę w kierunku Słońca. Tutaj my, niewolnicy pozorów zostaliśmy zaproszeni do wspólnej wędrowki po schodach. W kierunku, z którego co prawda nie pada żaden oślniewający blask, ale - skąd w pierwszym momencie misterium dyskretnie spływa białe piórko. Pdpis już nie anonimowego Reżysera? List od anioła?

Jadwiga Mizińska